

Anton Czechow



Partja winta

Anton Czechow

Partja winta

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Anton Czechow
„Partja winta”

Copyright © by Anton Czechow, 1926
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska”
Wydawnictwo: Towarzystwo Wydawnicze „Rój”
Warszawa, 1926

ISBN: 978-83-8119-394-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Syrena.

Po pewnem posiedzeniu zjazdu sędziów pokoju, sędziowie zebrali się w sali konferencyjnej, by zdjąć mundury, chwilkę odpocząć i udać się do domu na obiad. Przewodniczący zjazdu, okazały mężczyzna o puszystych faworytach, który przy każdej ze spraw tej wokandy zgłaszał sprzeciw, siedział przy stole i pospiesznie redagował votum separatum. Okręgowy sędzia Miłkin, młody, o sentymentalnej, melancholijnej twarzy, uchodzący za filozofa niezadowolonego ze środowiska i szukającego celu w życiu, stał przy oknie i ze smutkiem wyglądał na podwórze. Drugi okręgowy wyszedł już razem z jednym z honorowych. Pozostały jeszcze w sali honorowy, obrzmiały, sapiący grubas oraz podprokurator — młody Niemiec o zgorzkniałej twarzy — siedzieli na kozetce i czekali na prezesa, by razem z nim pójść na obiad.

Przed nimi stał sekretarz zjazdu Żylin, maleńki człowieczek z baczkami koło uszu, o słodkawym wyrazie twarzy. Uśmiechając się słodziutko i patrząc na grubasa, mówił półgłosem:

— Wszyscy jesteśmy teraz głodni, bo zmęczeni jesteśmy i jest już po trzeciej. Ale to, drogi panie, nie jest jeszcze prawdziwy apetyt. Prawdziwy, wilczy apetyt, kiedy człowiekowi się zdaje, że zjadłby rodzzonego ojca, przychodzi właściwie dopiero po pracy fizycznej, na przykład, po polowaniu z chartami, albo kiedy się odwali końmi ze sto wiorst bez wytchnienia. Ma też w tym wypadku duże znaczenie wyobraźnia. Przypuśćmy, że pan wraca do domu z polowania

i pragnie z apetytem zjeść obiad. Nie wolno wtedy myśleć o rzeczach mądrych; rzeczy mądre i uczone zawsze apetyt psują. Sam pan wie z pewnością, że różne filozofy i uczone ludzie pod względem jedzenia — to najostatniejszy gatunek i gorzej od nich nie odżywiają się, za przeproszeniem, nawet świnie... Jadąc do domu, trzeba się starać, żeby mózg zajęty był wyłącznie buteleczką i zakąską. Pewnego razu w drodze, gdym zamknął oczy i pomyślałem sobie o prosiaku z sosem chrzanowym — dostałem takiego apetytu, że mnie o atak hysterji przyprawił. Ano więc, gdy się wjeżdża na swoje podwórze, trzeba, żeby z kuchni dochodził zapach czegoś takiego, wie pan...

— Pieczone gęsi mają tę osobliwość — odezwał się sędzia honorowy, ciężko dysząc.

— Co znowu, drogi panie, kaczka albo bekas mogłyby dać gęsi dziesięć for. Bukieciak gęsi nie ma tej pieśczoćliwości i delikatności. Najbardziej drażniąca jest młoda cebulka, kiedy się już, panie tego, zaczyna podsmażać i, rozumie pan, syczy, psia wiara, na cały dom. A więc gdy pan tylko wchodzi do domu, stół powinien już być nakryty: siada pan wtedy, odrazu zakłada pan serwetkę pod brodę i bez pośpiechu sięga pan ręką po karafeczkę z wódką. Nalewa ją pan, najdroższą, nie do kieliszka, a właśnie do jakiegoś przedpotopowego srebrnego kubka rodzinnego, albo do jakiegoś pękatego kieliszka z napisem, na przykład: „in vino veritas” i wypija ją pan nie odrazu; a najpierw pan wzdycha, ręce pan zaciera, spogląda pan obojętnie na sufit a potem, tylko bez pośpiechu, podnosi pan ją, niby wódeczkę, do ust i... natychmiast całym ciałem wstrząsa miły dreszczyk...

Na twarzy sekretarza malowała się słodycz i błogość.

— Dreszczyk... — powtórzył, mrużąc oczy. — Niezwłocznie po przełknięciu wódziuni, należy przekąsić.

— Panie — odezwał się prezes, podnosząc wzrok na sekretarza — proszę mówić ciszej! Dzięki panu już drugi arkusz papieru psuję.

— O! najmocniej przepraszam. Będę już cicho — powiedział sekretarz i ciągnął dalej półszepsem. — Ale przekąsić, drogi panie, trzeba również umiejętnie. Trzeba wiedzieć, czym przekąsić. Najlepszą zakąską, jeśli pan chce wiedzieć, jest śledź. Po zjedzeniu kawałeczka śledzika z cebulką i sosikiem musztardowym, tuż należy, panie dobrodzieju, przełknąć odrobinę kawioru bez dodatków, albo jeśli pan woli, z cytrynką. Następnie zwyczajną rzodkiew z solą, potem znów śledzika, a najlepiej, panie dziejaszku, solonych rydzyków, które należy pokrajać drobniuteńko, jak kawior, i, ma się wiedzieć, z cebulką i oliwą... To pycha! Za to wątróbka z miętusa — o, to tragedia!

— Mmm... tak... — potwierdził sędzia honorowy, mrużąc oczy. Na zakąskę niegorsze są też... te... białe grzybki duszone.

— Tak, tak, racja; z cebulką, wie pan, bobkowym liściem i innymi specyfikami. Otwiera pan rondel, a tu bucha taka para, smak grzybowy... Nieraz aż na łyżę zbiera! Dalej, jak tylko z kuchni wnoszą kulebiak, należy niezwłocznie wypić po drugim.

— Boże Świąty! — odezwał się płacząco prezes. — Przez pana już trzeci arkusz zepsułem.

— Do wszystkich djabłów, tylko o jedzeniu myśli! — mruknął filozof Miłkin, krzywiąc się pogardliwie. — Czy w życiu niema już

istotnie nic poza grzybami i kulebiakiem?

— A no przed kulebiakiem, wypić... — kontynuował sekretarz, który uniósł się już do tego stopnia, że jak śpiewający słowik nie słyszał nic, prócz własnego głosu. — Kulebiak musi być bezwstydnym, w całej swojej nagości, tak, żeby kusił. Mrugniesz na niego, oderżniesz porządną pajdę i pogmerasz nad nią palcami, ot tak, od nadmiaru uczuć. Zaczyna pan ją jeść, a masło kapie jak łzy, nadzienie tłuste, soczyste, z jajkami, podróbkiem, cebulą...

Sekretarz wywrócił białka oczu, a usta wykrzywił po samo ucho. Sędzia honorowy aż jęknął i mając w wyobraźni kulebiak, poruszył palcami.

— Tam do diabła... — mruknął okręgowy, odchodząc do drugiego okna.

— Dwa kawałki zjeść, a trzeci zatrzymać do barszczu — mówił dalej natchniony sekretarz. — Po zjedzeniu kulebiaku natychmiast musi być podany barszczyk, żeby apetyt nie przeszedł... Barszczyk musi być gorący, ognisty. A najlepiej, panie dobrodziejku, z buraczkami, na sposób ukraiński, z szynką i parówkami. Do niego podaje się śmietanę i zieloną pietruszkę z koperkiem. Przepyszny jest rozsolnik na podróbkach i młodych cynaderkach, a jeśli kto lubi zupę, to najlepsza z zup jest taka... zasypywana korzonkami i jarzyną: marcheweczką, kalafjorami, szparagami i temu podobną jurysprudencją.

— Tak, wspomniała to rzecz... — westchnął prezes, podnosząc głowę, lecz natychmiast opamiętał się i jęknął:

— Bój się pan Boga! W taki sposób ja do wieczora sprzeciwu swego nie napiszę! Czwarty arkusz psuję!

— Już więcej nie będę. Przepraszam — usprawiedliwił się sekretarz i mówił dalej szeptem: — Jak tylko skonsumowany został barszczyk albo zupa, niezwłocznie niech podają coś z ryb, panie dziejku. Z milczących ryb — najlepszy jest karaś zapiekany w śmietanie. Tylko, żeby nie trącił bagnem i żeby nabrał miękkości, trzeba go żywego przez dobę trzymać w mleku.

— Dobrze też jest zjeść sterled — wtrącił honorowy, przymykając oczy, ale natychmiast niespodziewanie zerwał się z miejsca i ze zwierzęcym wyrazem twarzy, ryknął w stronę prezesa:

— Piotrze Mikołajewiczu, prędko tam pan będzie gotów? Ja już dłużej czekać nie mogę! Nie mogę!!

— Dajże mi pan skończyć.

— To sam pojedę! Niech was wszyscy djabli!...

Grubas machnął ręką, chwycił kapelusz i, nie żegnając się z nikim, wybiegł z sali. Sekretarz westchnął i skłoniwszy się do samego ucha podprokuratora, ciągnął dalej półgłosem:

— Dobry jest też sandacz, albo karp w sosie z pomidorów i grzybków. Ale rybami człowiek się nie nasyci. To nie jest jedzenie fundamentalne. Punktem ciężkości obiadu nie może być ryba ani też sosy, a mięso. Za jakim ptactwem pan najbardziej przepada?

Podprokurator zrobił kwaśną minę i westchnął:

— Na nieszczęście nie mogę panu współczuć: mam katar żołądka.

— Daj pan spokój! Te katary żołądka wymyślili doktorzy. Choroby tej dostaje się najprędzej od zbytniego liberalizmu

i nadmiernej pychy. Nie zwracaj pan na to uwagi. Przypuśćmy, że panu się jeść nie chce, albo pana mdli, a pan nie zwracaj na to uwagi i jedz pan sobie. Jeżeli na ten przykład podadzą na drugie dropie, a do tego jeszcze dodadzą kuropatwę, albo ze dwie tłusciuchne przepióreczki — zapomni pan o jakimkolwiek katarze, przysięgam na honor. A pieczona indyczka? Bieluchna, tłusta, taka soczysta, panie dziejku, niczem nimfa...

— Taak... prawdopodobnie to jest smaczne — powiedział prokurator, uśmiechając się smutnie. Indyczkę coprawda zjadłbym.

— Boże! A kaczka? Pan sobie wyobrazi młodą kaczkę, którą chwycił jeszcze pierwszy przymrozek. Upiec ją tak na brytwannie razem z kartofelkami, ale tak, żeby kartofelki były pokrajane na drobne plasterki, żeby się dobrze przysmażyły, przesiąkły tłuszczem kaczki i żeby...

Filozof Miłkin zrobił zwierzęcy wyraz twarzy i chciał widocznie coś powiedzieć, ale znienacka mlasnął wargami, wyobraziwszy sobie prawdopodobnie pieczoną kaczkę i nie powiedziawszy ani słowa, gnany nieznaną siłą, chwycił kapelusz i wybiegł, jak opętany.

— Taak... Coprawda, zjadłbym również kaczkę — westchnął podprokurator.

Prezes wstał, przeszedł się i znów usiadł.

— Po drugim daniu człek jest już syty i wpada w stan słodkiego zapomnienia — kontynuował sekretarz. — W takich chwilach dobrze jest na ciele i błogo na duszy. Na osłodę może pan jeszcze wypić ze trzy kieliszki przepalanki.

Prezes chrząknął i przekreślił rękopis.

— Szósty arkusz psuję — powiedział ze złością. — To trzeba nie mieć sumienia!

— Ależ proszę, proszę pisać, dobrodzieju — szepnął sekretarz — już nie będę! Ja pocichutku. Mówię panu sumiennie — ciągnął już szeptem ledwie dosłyszalnym: Domowego wyrobu przepalaneczka lepsza jest od jakiegokolwiek szampana. Po pierwszym kieliszku dusza ulata w przestworza, opanowuje człowieka jakiś miraż i zdaje się panu, że pan jest nie u siebie w domu w fotelu, a gdzieś w Australji na jakimś posłaniu z najmniejszych strusich piór...

— Ależ pojedziemy już Piotrze Mikołajewiczu — odezwał się prokurator, podrygując niecierpliwie nogą.

— Tak, tak — ciągnął sekretarz. — W czasie popijania przepalanki niezgorzej jest wypalić cygarko, puszczając kółka, a wtedy przychodzą do głowy najcudaczniesze marzenia: Jak gdyby pan był generalissimusem, albo żonatym z najpierwszą pięknnością na świecie, i jak gdyby pięknność ta pływała przed pańskimi oknami w akwarjum ze złotymi rybkami. Ona pływa, a pan do niej:

— „Kochanie, chodź, pocałuj mnie!”

— Piotrze Mikołajewiczu! — jęknął podprokurator.

— Taak — mówił dalej sekretarz — pokurzywszy sobie, bierze pan nogi za pas i czempredzej jazda do łóżeczka. Kładzie się pan tak na plecy, brzuszkiem do góry i dopiero pan bierze do rąk gazetkę. Bo jak już oczy się kleją i całe ciało zaczyna zapadać w drzemkę, przyjemnie jest poczytać troszkę o polityce: Tu Austrja chybiła, tam znowu Francja komuś niedogodziła, czy znów papież coś komuś naprzekór wyczynił — czytasz sobie i sprawia ci to przyjemność.

Prezes zerwał się, cisnął pióro o ziemię i oburącz chwycił kapelusz. Podprokurator zapomniał o swoim katarze i, mdlejąc z niecierpliwości, również się zerwał.

— Jedziemy! — krzyknął.

— Panie prezesie, a jakże to votum separatum? — zląkł się sekretarz. — Kiedyż to, panie dobrodzieju, będzie napisane? Przecież pan musi o szóstej godzinie do miasta jechać!

Prezes machnął ręką i rzucił się ku drzwiom. Podprokurator również machnął ręką i, schwyciwszy teczkę, znikł razem z prezesem. Sekretarz westchnął, spojrzął z wyrzutem w kierunku drzwi i zaczął porządkować papiery.

Order.

Nauczyciel progimnazjum wojskowego, kolegalny registrator, Lew Pustiakow, mieszkał w sąsiedztwie swego przyjaciela, porucznika Ledienkowa. Do niego to, pewnego noworocznego poranku, skierował swoje kroki.

— Słuchaj, Grisza, chodzi mi o następującą rzecz — zwrócił się do porucznika po zwykłych noworocznych życzeniach. — Nie niepokoiłbym cię, gdyby nie nagła potrzeba. Pożycz mi, kochanie, na dzień dzisiejszy twego Stanisława. Otóż uważasz, dziś mam obiad u kupca Spiczkina. Znasz przecież tego bałwana: strasznie lubi ordery i bodaj czy nie ma za łajdaków tych, którym się coś nie dynda na szyi, albo w klapie. A pozatem ma dwie córki... Rozumiesz?... Nastia i Zina... Mówię do ciebie, jak do przyjaciela. Wszak mnie rozumiesz?... Mój drogi! Daj mi, bądź łaskaw!

Pustiakow wyrecytował to wszystko, rumieniąc się, jękając

i zerkając raz po raz na drzwi. Porucznik sklął go, ale się zgodził.

O drugiej po południu Pustiakow jechał dorożką do Spiczkinów i, rozpiąwszy futro, spoglądał na udekorowaną pierś, na której błyszczało złoto i mieniła się emalja cudzego Stanisława.

— Jakoś człowiek nabiera większego dla siebie szacunku! — pomyślał, chrząkając nauczyciel. — Taki nieznacznym przedmiot, kosztuje najwyżej pięć rubli, a jaki efekt wywołuje!

Gdy zajechał przed dom Spiczkina, rozpiął futro i powoli likwidował dorożkarza. Zdawało mu się, że, zauważywszy szlify, świecące guziki i Stanisława, dorożkarz osłupiał. Pustiakow chrząknął z zadowolenia i wszedł do bramy. Zdejmując w przedpokoju futro, zajrzał do jadalni. Przy długim stole siedziało już około 15 osób i jadło obiad. Słysząc było rozmowy i brzęk talerzy.

— Kto tam dzwoni? — odezwał się gospodarz. — Ba! Lew Mikołajewicz! Bardzo prosimy. Troszkę się pan spóźnił, ale to głupstwo. Dopierośmy zasiedli.

Pustiakow wypiął pierś, podniósł głowę i, zacierając ręce, wszedł do pokoju. Ale tu zauważył coś strasznego. Przy stole, obok Ziny, siedział jego kolega z progimnazjum, nauczyciel języka francuskiego, Tramban. Pokaże Francuzowi order — wywoła moc przykrych pytań i shańbi się, zdyskredytuje na całe życie... Pierwszą myślą Pustiakowa było zerwać order, uciec gdzieś; ale order był solidnie przymocowany, a cofnąć się już też nie mógł. Błyskawicznym ruchem prawej ręki przykrył więc order, zgarbił się, przywitał zebranych ogólnym ukłonem i, nie podając nikomu ręki, opadł ciężko na wolne krzesło, jak na złość

vis-à-vis kolegi-Francuza.

— Trynknięty prawdopodobnie — pomyślał Spiczkin, spojrzawszy na zażenowanego gościa.

Przed Pustiakowem postawiono talerz zupy. Chwycił łyżkę lewą ręką, ale przypomniawszy sobie, że w dobrze wychowanym towarzystwie nie wypada jeść lewą ręką, oznajmił, że już jadł obiad i nie jest głodny.

— Ja już jadłem... Dziękuję... — bąknął. — Byłem z wizytą u wuja, protojereja Jelejewa i namówił mnie do... tego... obiadu.

Pustiakow kipiał wewnątrz przy tych słowach i żal ścisnął mu serce: zupa wydawała smakowity zapach, a od jesiotra „z wody” szła niezwykle drażniąca nozdrza para. Nauczyciel próbował uwolnić prawą rękę i przykryć order lewą, stawało się to jednak niewygodnym.

— Zauważą... Ręka będzie przeciągnięta przez całą szerokość piersi, jakgdybym się zabierał do śpiewania. Boże! Niechby się ten obiad prędzej skończył. Zjem już w knajpie!

Po trzecim daniu zerknął ukradkiem na Francuza. Tramblan, jakoś bardzo zawstydzony, spoglądał na niego i też nic nie jadł. Spojrzeli na siebie i obaj, jeszcze bardziej zawstydzeni, opuścili oczy na puste talerze.

— Zauważyła bestja! — pomyślał Pustiakow. — Po gębie widzę, że zauważył! A to kanalja, plotkarz. Jutro natychmiast doniesie dyrektorowi!

Gospodarze i goście skończyli czwarte danie, los tak już zrządził, że zjedli i piąte...

Podniósł się z miejsca jeden z zaproszonych, wysoki,

o szerokich owłosionych nozdrzach, garbatym nosie i od urodzenia zmrużonych oczach. Pogładził się po głowie i rzekł:

— E-e-e...ep...ep...e...proponuję wypić zdrowie obecnych tu pań.

Goście hałaśliwie wstali i podnieśli kielichy. Głośne „vivat” rozległo się po całym mieszkaniu. Panie uśmiechnęły się i wyciągnęły ręce, by się trącić z sąsiadami. Pustiakow również wstał i wziął kieliszek w lewą rękę.

— Lew Mikołajewicz! Zechce pan łaskawie szklaneczkę tę podać Nastazji Timofiejewnie! — zwrócił się do niego jeden z gości, wręczając mu szklaneczkę. — Niech pan ją zmusi do wypicia!

Tu już Pustiakow, ku swemu przerażeniu, zmuszony był do użycia prawej ręki. Stanisław ze zmiętą czerwoną wstążeczką ujrzał nareszcie światło dzienne i zabłysnął. Nauczyciel zbladł, opuścił głowę i bojaźliwie spojrzął w stronę Francuza. Ten zaś rzucił na niego zdumione, pytające spojrzenie. Uśmiechał się chytrze kącikami ust, a z twarzy powoli ustępowało zakłopotanie...

— Juljuszu Augustowiczu! — zwrócił się do Francuza gospodarz. — Proszę oddać buteleczkę komu należy!

Tramblan wyciągnął niezdecydowanie prawą rękę... i, o Boże! Pustiakow zauważył na jego piesiach order! Nie był to Stanisław, a sama Anna! Aha! więc i on nabrał! Pustiakow roześmiał się z zadowolenia i z uczuciem ulgi rozparł się na krześle... Teraz nie miał już potrzeby ukrywać Stanisława! Obaj popełnili jeden i ten sam grzech, a więc niema kto donosić i zniesławiać...

— A-a-a-a... hm!... — ryknął Spiczkin, spostrzegłszy order na

piersiach nauczyciela.

— Te-e-ek! — zgodził się Pustiakow. — Dziwna rzecz, kolego Juljanie Augustowiczu! Jak mało było u nas przed świętami wniosków na odznaczenia! Z pośród tak licznego personelu udekorowano tylko nas dwu. Z-a-dz-i-wia-ją-ce!

Tramblan wesoło kiwnął głową i wysunął naprzód lewy wyłóg, na którym świecił order Anny trzeciego stopnia.

Po obiedzie Pustiakow obchodził wszystkie pokoje i pokazywał pannom order. Ulżyło mu na duszy, chociaż w dołku głód dokuczał.

— Żebym się był domyślił tego kawału — mruczał nauczyciel, spozierając z zazdrością na Tramblana, gawędzącego ze Spiczkowem o orderach — przyczepiłbym był sobie Włodzimierza. Jaka szkoda!...

Ta myśl prześladowała go.

Pod każdym innym względem był zupełnie szczęśliwy.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa

i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

